Nr. 23. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 3 Czerwca 1871

Redakcja przy ulicy Berlińskiéj Nr. 14.
Ajencje: Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt. Kraków: Friedlein, Józef Czech.

Filozofja natury

przez

Henryka Levittoux,

krytycznie przedstawiona

przez

Karola Libelta.

(Dalszy ciąg).

g) Stworzenie ziemi i stworzenie człowieka.

Nazwaliśmy te i następne przedmioty zastosowaniem teorji atomu i sił do najważniejszych pytań, jakie się w filozofji natury podają. Autor sam dalszych badań swoich zastosowaniem nie nazywa, bo też rzeczywiście takiego w nich nie ma, aby rozwiązanie tych wielkich kwestji bezpośrednio z saméj teorji autora wypływało. On je podnosi jako przedmioty do filozofji natury należące i podaje o nich swoje rozumowania i widzenia, tak że możnaby je i bez poprzedniéj teorji atomu i sił zrozumieć. Wszakże, jeżeli nie ma związku formalnego, jaki system nauki podawać winien, jest przecie związek wewnętrzny. Główna zasada atomu i jego złożeń, tudzież siły te złożenia wykonywającéj i przez nie się w rozmaity sposób objawiającéj, jest autorowi zawsze na myśli i od niéj w pojęciach swoich nie odbiega. O tyle więc następne autora traktaty zastosowaniem jego teorji nazwać można.

Jeżeli się myśl ludzka w regjony czasem i miejscem tak odległe zapocieka, z braku pewnych danych, gubić się musi w domysłach. Same też tylko domysły i hipotezy krążą o stworzeniu ziemi i człowieka. Dwa główne przypuszczenia, dla tego, że na nauce oparte, znalazły wziętość. Buffon przypuszcza możebne starcie się dwóch planet, z którego odpryśnięty odłam w przestrzeń, nabrał sił rotacji około swéj osi i około słońca i stał się ziemią. Widzimy na prawdę, że kula bilardowa uderzona nie w kierunku jéj punktu ciężkości, ale z boku, odbywa podwójny ruch: obrót około swéj osi i bieg w kierunku nadanym przez uderzenie. Jeżeli cząstka stali uderzonéj o krzemień zapala się iskrą, to odłam mający powierzchni przeszło dziewięć miljonów mil kwadratowych, musiał się stać ogniem płonącym.

Autor sądzi, że w tym ogniu utrzymać się mogła woda, bo ta się ulatnia w temperaturze 140 stopni, a w wyższéj temperaturze zamienia się w stan kuli, wirem się toczy, i ani się ulatnia, ani moczy. Pokazuje się to z doświadczenia, gdy w naczynie platynowe rozgrzane do trzystu lub więcéj stopni, rzucimy kroplę wody. Wszelako wszelkie życie organiczne w takiéj temperaturze wysokiéj by zniszczało. Z tego powodu autor odrzuca hipotezę Buffona, bo i nieporządek w kreacji przypuszcza, jakim jest uderzenie dwóch ciał niebieskich o siebie, i powtórną kreację życia organicznego na ziemi z czasem ostudzonéj, czyni konieczną.

Drugie przypuszczenie jest astronoma Laplace, dotąd przyjęte w nauce, bo nietylko oparte na głębokiéj znajomości mechaniki nieba, ale prawie dotykalnie stwierdzone doświadczeniem późniejszém fizycznėm pana Plateau, który okazał, że wpuszczając w rozczyn wodno-alkoholiczny oliwę tak, aby ta w środku rozczynu

się unosiła, takowa natychmiast w formę sferoidalną się zamienia; wprawiając zaś tę kulę oliwną w obrót za pomocą korby i talerza w środku kuli oliwnéj umieszczonego, zacznie się takowa płaszczyć u biegunów a grubieć u równika, następnie spłaszczenia rosną i tworzą się u biegunów zagłębienia, które gdy się połączą, powstaje pierścień wirujący; aż nakoniec nastąpi rozerwanie się pierścienia oliwnego na odłamy, z których każdy zaraz zamienia się na mniejszą kulę oliwną.

Prawa fizyki i mechaniki te same są na ziemi i niebie. Planety Mars, Jowisz i Saturn przez teleskop uważane, mają na prawdę takie spłaszczenia biegunowe. Saturn zdaje się nawet do najpóźniejszych formacji należeć, bo jeszcze ma pierścień wirujący. Jeżeli kiedyś ten pierścień się oderwie i w osobne księżyce rozpadnie, będzie to niezaprzeczalny dowód prawdziwości hipotezy Laplasowéj.

Myśl główna téj hipotezy jest ta, że świat nasz słoneczny, a tym samym sposobem i każdy inny powstał z nebulozy (mgławicy), to jest z materji eterowéj, lekkiéj i rzadkiéj, ale nadzwyczajnych rozmiarów. Gdy nebuloza, po wypromienieniu się jéj ciepła w przestrzeniach zaczynała się kupić, gęścieć i wirować około swego punktu ciężkości, powstały fenomena podobne do experymentu p. Plateau. Powstało słońce, formowały się w kolei wieków z jego ostudzonéj zewnętrznéj materji osobne pierścienie, a te rozrywały się w planety i księżyce, tworzące ze słońcem system nasz słoneczny.

Autor stara się osłabić znaczenie téj kosmogonji Laplasowéj tém, że ją wziął od Kanta, a ten od Kartezjusza, który pisał o ruchu wirowym materji eterycznéj. Autor widzi początki téj teorji nawet w Leucyppie i w Hezjodzie. Czyż dla tego mniejszą jest zasługa naszego Kopernika, że myśl obrotu ziemi około słońca już transpirowała wśród uczonych starożytnych? Toć i o atomach i o siłach tylu pisarzy pisało, a jednak pomysły naszego autora nie tracą dla tego na swéj oryginalności.

Autorowi wydaje się cała ta teorja mylną i nic nie tłomaczącą. Wedle niego, komety przechodzące nasz system słoneczny a nienależące doń, zabijają ostatecznie teorję Laplace'a. Czyż zgodne jest ze zdrowym rozsądkiem — powiada — ażeby słońce i miljardy olbrzymich gwiazd były dotąd nebulozą zaledwie w niektórych punktach krzepnącą, kiedy ziemia ma być zgrzybiałą i bliską śmierci staruszką, a księżyc trupem na drodze rozkładów od wieków? Czyż można przypuścić, aby ziemia była naprzód stworzona a następnie słońce i gwiazdy?! (str. 270). Przyznajemy otwarcie że wszystkich tych zarzutów nie rozumiemy: raz że one z hipotezy Laplasowéj nie wypływają; powtóre, że gdy są komety słoneczne, to zjawianie się komet pozasłonecznych, a nie wciągnionych w siłę attrakcji naszego słońca, dowodzi tylko, że ich siła pędu jest wyższą o wiele niż siła przyciągająca słoneczna.

W kilkunastu wierszach odsłania autor własne widzenie rzeczy: że ziemia jest tak dawna, jak cała kreacja; — że nie jest żadnym odłamem planety, — że jeżeli była kiedyś ogniem, to tylko w chwili jéj stworzenia, przy przejściu siły w materję; — że temperatura jéj wewnętrzna jest prostym chemicznym wypadkiem związków i rozkładów ciał w jéj wnętrznościach na siebie działających; — że kataklizmy i przewroty ziemi są skutkiem działania siły odśrodkowéj, produktów pracy jéj wnętrzności, która stanowi jéj życie; — że potopy ogólne, perjodyczne są nadnaturalne; — że nowych istot Bóg na ziemi po każdym potopie nie stwarza, a wszystko od razu było stworzone; — że zarodek istot organicznych jest na niéj odwieczny, jak cała natura. (str. 272)

Autor uważa więc stworzenie ziemi i ciał niebieskich za odwieczne, jako odwiecznym jest Bóg, i co do istot organicznych, utrzymuje, że tylko ich z a r o d e k był odwiecznie w Bogu, a że mają swój wybitny początek w czasie, „b o w o l a n a j w y ż s z a m o g ł a s i ę w y r a z i ć w c z a s i e, k i e d y t o w m ą d r o ś c i s w o j é j u z n a ł a z a p o t r z e b n e" — To przypuszczenie odrazowego stworzenia wszystkich ciał niebieskich, a późniejszego stworzenia istot organicznych w czasie, obala zasada, którą i autor podziela, że w obec wszechmocy Bożéj, ogromy światów i wymoczki mikroskopiczne, są téj saméj wartości, i przedmiotem téj saméj stwórczéj opieki. Jeżeli te ostatnie powstawały w czasie czemużby i słońca i planety i księżyce w czasie powstać nie mogły?

Co do stworzenia człowieka autor w szczupłych także ramach skreśla swoje wyobrażenia. Na początku stworzenia ziemi istniały warunki, w których się istoty organiczne począć i rozwijać mogły; czém dziś jest łono matki, tém w ten czas były ciepło i dziewiczość ziemi, i wilgoć rodzajna atmosfery. Ze stygnięciem ziemi i z atmosferą mniéj żyjącą w sile i rozwój istot ustawał. Co się wtedy podniosło, nie do typu człowieka, ale do typu rośliny, robaka, ryby, psa, małpy, zostało rośliną, robakiem, rybą, psem, małpą. Zostały zwierzokrzewy na granicy roślin i zwierząt; zostały nietoperze na wpół ptaki, na wpół zwierzęta ssące; zostały niewykończone typy jak żyrafy, wielbłądy, hippopotamy, bezlotki, psy morskie i t. p. którym zdaje się zabrakło czasu do jakiéjś symetryczniejszéj doskonałości. Typy te organiczne wyrabiają sperm i jajko, jako najprostszą materję organiczną, i rozmnażają się w téj saméj formie, jak gdyby dla przypomnienia człowiekowi jego początku. Rośliny więc i zwierzęta to organiczne istoty bratnie człowieka. To samo było zdanie Lamarka który od ryb, monad i polipów początek człowieka wywodził.

Nie możemy zaprzeczyć, że pomysł ten pana Levittoux nie stoi w sprzeczności z jego zasadą jedności w rozmaitości wszechstworzenia. Wszakże wątpimy, aby zyskał zwolenników. Towarzystwa zawiązane do łagodnego obchodzenia się ze zwierzętami, są bliskie téj zasady, że zwierzęta są braćmi naszymi. Obdarzone czuciem jako i my i znakomitemi własnościami, zasługują zapewne na to, aby je lepiéj traktowano i może wróci zasada Pytagorejczyków, dziś przez towarzystwo Wegetarjanów szerzona, że nie należy żywić się pokarmem mięsnym. Atoli zdaje mi się, że autor w tém zbłądził, iż żadnego nie położył przycisku na ogromną różnicę między człowiekiem a zwierzęciem, którą stanowi duch ludzki, dający nam mowę, moralność, i postęp w nieskończoność przemysłu i umiejętności. To nas wiecznie od zwierząt odróżniać będzie. Będziemy w nich widzieli twory Boże, ale nigdy braci naszych. Fizjologicznie widzi nam się zasada pana Trémaux*) daleko praktyczniejsza, która wypowiada: że udoskonalenie istot żyjących zostaje zawsze w stosunku doskonalszego wyrobienia się, téj części ziemi, na któréj żyją; i że ziemia w ogólności tém więcéj staje się wyrobioną, im do późniejszéj należy formacji geologicznéj.

W końcu autor jest tego zdania, że z zupełném wystudzeniem ziemi naszéj, człowiek i wszystkie organizmy ziemskie zaginą. Zdaniem naszém byłby to najsilniejszy dowód czasowego a nie odwiecznego istnienia globu naszego. To co w czasie zmiera, w czasie też powstać musiało.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Origine et transformations de l'homme et des autres êtres par P. Trémaux. Paris 1865.

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

Nie przyszedł jeszcze do siebie, gdy głos ten powtórzył się drugi raz.

Zdawało mu się, że to z pod podłogi, to znowu że ze ściany, jednem słowem nie wiedział zkąd. Nie był przesądnym i nie wierzył w strachy, ale najodważniejszy człowiek zbudzony ze snu, w ciemności, niechętnie staje w obec niepojętéj zagadki i radby ją rozwiązać jak najprędzéj. Chciał zatém sięgnąć po zapałki i zapalić świecę, ta chęć jednak przyszła mu wprzód nim sobie zdał dokładnie sprawę z miejsca, w którém się znajdował, zerwał się więc szybko i poszedł w tym kierunku, w jakim byłby szedł gdyby się zrywał z łóżka, skutkiem czego zawadził o stolik, stłukł sobie porządnie bok, stolik przewrócił i wszystko co było na nim zwalił na podłogę.

Łomot się zrobił straszliwy. Na Babiéj wyspie ściany były dosyć cienkie, a sąsiedzi nie mieli snu tak twardego jak nasz bohater.

Jednocześnie zerwał się z łóżka w swojém mieszkaniu doktor Tucki i z panieńskiego posłania u siebie podniosła główkę panna Iza. Oboje pomyśleli, że się ktoś dobija do domu, doktor poszedł do służącéj, zbudził ją i kazał bramę otworzyć, a panna Iza, nie budząc sióstr i nie wyręczając się nikim, narzuciła na siebie ranny szlafroczek i wyszła ze świécą do sieni.

Nieszczęście chciało, że panna Iza wybrała się daleko prędzéj niż służąca doktora, i upewniła się już, że nikt nie sztuka do bramy, a nawet miała czas wyjrzéć na podwórko, gdy ukazała się wysłanka Eskulapa, który sądził, że to do niego dobijają się pacjenci.

Gdy służąca otwiérała drzwi i wychodziła ze światłem, najmłodsza panna Rękalska z powrotem z podwórka znajdowała się właśnie koło samych drzwi Pilskiego. Dziewczyna spojrzała na nią dziwnym wzrokiem, panna Iza była tyle niezręczna, że odskoczyła od drzwi zakazanych spłoszona.

— Co to, proszę pani?... — zapytała służąca.

— Nic... nic... Małgorzato... — odrzekła panna Iza, z pewném dosyć naturalném w jéj położeniu pomięszaniem, — zdawało mi się, że ktoś sztukał...

— Aha!.. rozumiem... — z dziwnym akcentem odpowiedziała kucharka i nie dopytując się o nic więcéj powróciła do siebie.

Panna Iza jak skamieniała została na środku bramy, świéca wypadła jéj z ręki, potoczyła się na podłogę i zagasła, — ciemność ogarnęła ją zupełna.

W normalnym biegu rzeczy panna Iza była taką przyjaciółką światła, że się poprostu bała ciemności, tą razą jednak ciemność jéj nie przerażała, bo czarniejsze od niéj myśli przesuwały się po jéj biednéj głowie.

Przewidywała jaka okropna, jaka szkaradna plotka z tego błahego i w gruncie zupełnie niewinnego zdarzenia zaraz nazajutrz urośnie.

Panna Iza wiedziała dobrze, że pani Tucka, skoro zagniewała się na Pilskiego, musiała się zagniewać i na nią, a nie było jéj także tajném, że szanowna małżonka konsyljarza należała do tych pełnych energji i konsekwencji niewiast, które gdy z kim są dobrze, to choć je do rany przyłożyć, ale gdy się zagniewają na kogo, ten może polecić się Bogu. Znane były na Babiéj wyspie przykłady, że zacna doktorowa gdy rozpoczęła z kim wojnę, z panią Gącińską naprzykład, nietylko sama niedawała jéj przejść, prześladując ją przy każdém spotkaniu szyderstwami, śmiechem i urąganiem, ale nadto mustrowała i wprawiała do takiéj podjazdowéj wojny całą szóstkę swéj dziatwy, ośmielała i upoważniała służącą, namawiała i zachęcała krewnych i powinowatych, którzy liczną czeredą dom jéj nawiedzali, czerpiąc zapomogi ze szczodrobliwości doktora. Zdarzało się nieraz, że spotkawszy panią Gącińską, służąca pani Tuckiéj, tak głośno, żeby wszyscy słyszeli, wymawiała wyraz „fiksatka,“ albo która z cór szanownéj mamuni rzucała za poczciwą, chociaż zrzędną staruszką salonowy i pełen dowcipu przymiotnik „głupia,“ albo która z ciotek czy stryjenek pani Heleny, nie mogąc się zdobyć na coś lepszego, charakterystycznie spluwała.

Dostać się na ząbki, mającéj tyle i tak licznych sprzymierzeńców, osoby było bardzo naturalnie przerażającą dla panny Izy perspektywą, nie dziwmy się więc bynajmniéj jéj osłupieniu.

W tém osłupieniu nieszczęsna panna Iza byłaby pozostała niewiedziéć jak długo, gdyby za chwilę nie ukazała się ze światłem w bramie ciocia Petronela, którą zapewne także hałas zrobiony przez Pilskiego zaciekawił, ale która była całkiem ubraną, jakby się wcale jeszcze spać nie kładła.

— Co to, Iziu?... — zagadnęła Ciocia, spostrzegając osłupiałą pannę Izę.

— Nieszczęście Ciociu.

— Jakie nieszczęście?...

— Zrobił się hałas.. wyszłam... służąca od Tuckich wyszła także i zobaczyła mnie tutaj...

— Pode drzwiami pana Pilskiego?....

— Tak!... o! ja nieszczęśliwa!... Co oni na mnie nagadają, naplotą!...

To mówiąc panna Iza załamała ręce.

Ciocia Petronela nie wzięła tak bardzo do serca tego tragicznego zdarzenia.

— Głupstwo, Iziu, powiadam ci, — rzekła, — pogadają i przestaną... nie zważaj nic... idź spać... pójdziesz za niego, ja ci ręczę... on już jutro nie będzie myślał, że ty mu nie sprzyjasz, oświadczy się... ja w tém jestem... bądź spokojna... wszystko będzie dobrze, jakem Petronela Majerańska.

— Czy tylko aby zręcznie, Ciociu? — zagadnęła niespokojnie panna Iza.

— No, no, nie bój się nic... tak zręcznie, że lepiéj nie można.

Pocieszona promykiem nadziei, panna Iza poszła do mieszkania a ciocia Petronela udała się do siebie.

W domu rozbudzone siostry przyjęły pannę Izę zapytaniem:

— Cóż to było?

Panna Iza opowiedziała swoją smutną przygodę i na pociechę otrzymała od obu starszych sióstr zapewnienie takie samo jak od cioci Petroneli, że wszystko będzie dobrze, że Pilski jutro nie będzie już myślał, że ona mu nie sprzyja. Panna Teodora i panna Eleonora powiedziały jéj to każda oddzielnie, do uszka.

Skromność dziewicza nie pozwalała pannie Izie dopytywać się o nic więcéj w téj materji. Sądziła że siostry jéj mają jakiś plan zręczny, wspólnie ułożony z panną Petronelą, zaufała ich doświadczeniu i, nie chcąc dowiadywać się więcéj, poszła do swego pokoiku, w którym resztę nocy spędziła, najróżowszemi kołysana nadziejami.

Pilski tymczasem znalazł zapałkę, zapalił świecę i słuchał.

Słuchał długo, ale nic nie dosłyszał, tylko jakieś chodzenie po bramie. Głosy tajemnicze, które go zbudziły ze snu, umilkły tak stanowczo, że sobie wytłomaczył, iż były tylko złudzeniem, położył się więc spać i spokojnie dospał do rana.

Rano dopiéro przyszło mu na myśl, że zapomniał o lekarstwie i już miał wyjść na miasto, ażeby je kazać przyrządzić, gdy zapukano do jego drzwi.

Tą razą był to listonosz, który mu przynosił dwa listy, widocznie niespodziewane. Bohater nasz bowiem przyjął je z pewném zdziwieniem i długo oglądał jeden i drugi, przypatrując się charakterowi pisma na kopertach, nim się zdecydował je otworzyć.

Otworzył, czytał, odczytywał, jakby oczom swoim nie wierzył, szukał podpisu, odczytywał znowu i znowu patrzył tam gdzie podpis być powinien.

Podpisów nie było, były to anonimy, rzecz tak pospolita w Krakowie, że mało jest tam osób, któreby ich w ciągu pobytu w tém mieście nie odbierały, a przyjezdnym trafia się czasem, że nazajutrz po przybyciu do miasta odbiérają ich po kilkanaście.

Przy tém oglądaniu i odczytywaniu otrzymanych korespondencji, bohater nasz rozmawiał z sobą półgłosem:

— Otóż co nowego!... jakiś rywal... dała mu odkosza... dla mnie... Tu w Krakowie widać się ludzie rozbijają o takie piękności jak panna Iza... winszuje mi, żem go zwyciężył... a niechże go wszyscy djabli porwą z jego powinszowaniem... czemu błazen nie napisał swego adresu, byłbym mu posłał przekaz najformalniejszy wszystkich praw moich do panny Izy, kiedy do niéj wzdycha i chciał, żeby go uszczęśliwiła... To mi się podoba doprawdy!...

Z tego monologu dowiadujemy się w jaki sposób jedna ze starszych sióstr panny Izy, według tradycji panna Eleonora, postanowiła zręcznie i delikatnie wybić z głowy sąsiada przypuszczenie, że panna Iza może mu nie być wzajemną.

Drugi list był innéj treści, bo czytając go i odczytując takie robił uwagi Pilski:

— Jeszcze jedna historja!... jakaś donzella!... „Od czasu jak cię pierwszy raz ujrzałam, powiedziałam sobie: on albo żaden.“ To oryginalne! czyżby to panna Iza sama?... Nie... jakaś jéj przyjaciółka... wyznaje daléj, że... że... spostrzegłszy moją miłość dla panny Izy, która jest ręki mojéj stokroć od niéj godniejszą, i która o ile jéj wiadomo podziela moje uczucia, postanowiła poświęcić się dla naszego szczęścia, i wyjechać z Krakowa, aby gdzie na prowincji wstąpić do klasztoru!... Czuła jakaś osoba i sentymentalna, nie ma co mówić!...

Odczytawszy, Pilski zaczął chodzić wielkiemi krokami po swoim małym pokoiku. Małość mieszkania i ogromne rozmiary kroków sprawiały, że się nieledwie kręcił w kółko.

Był zły.

— O téj mojéj niby miłości dla panny Izy, — mówił z gniewem, — już widzę wróble na dachach świegotają po Krakowie.

Zmiął oba listy i rzucił je pod piec, po chwili podniósł je jednak i zaczął im się jeszcze raz przyglądać, szczególniéj pismu pokonanego rywala. Nie wiedziéć jakim instynktem zaczął podejrzéwać autentyczność pisma.

Po dość długiém rozglądaniu rzekł wreszcie:

— Przysiągłbym, że to charakter kobiécy... tak... kobiécy niezawodnie... Wszystko, co mnie tutaj spotyka jest dziełem jednéj ręki, jednéj intrygi, dziełem téj osoby, która te dwa listy pisała...

Doszedłszy do tego wniosku zaczął myśléć nad wykryciem osoby, która mogła napisać oba te listy, i, jak zwykle człowiek nie wiedzący okoliczności składających się na bieg wypadków, wpadł na domysł najbłędniejszy.

Powiedział sobie, że autorką tych anonimów i całéj baśni o jego romansie z panną Izą nie mógł być kto inny jak pani Tucka.

— Mam ptaszka, — rzekł, uznawszy w duchu trafność tego przypuszczenia, — mam ptaszka... No, ale kiedy jéjmość dobrodzika nie wahasz się używać takiéj broni, to i mnie jéj użyć wolno... za dwa anonimy, dwa anonimy, nie będziem sobie mieli nic do wyrzucenia...

Usiadł i na poczekaniu napisał dwa listy, które niedługo potém wrzucił do skrzynki pocztowéj.

Reszta dnia byłaby dlań przeszła bez żadnego wypadku, gdyby koło południa nie odwiedziła go Kazia, która mu miała przynieść ważną i wcale niespodziewaną nowinę.

— Teraz to się już pan sąsiad nie będzie przedemną zapiérał, — rzekła wchodząc.

— Czego, Kaziu?...

— Że... że .. że się pan żeni.

— Z kim?...

— Ba! albo to pan nie wié... z tą osobą co tu u pana była dzisiaj o północy...

— Co ty gadasz, Kaziu?... kto tu u mnie był o północy?...

— Pańska narzeczona rozumie się.. tylko „bardzo-narzeczeni“ oddają sobie wizyty o takiéj porze...

— Przewróciło ci się w głowie... bredzisz... — nadąsał się Pilski.

— Mnie mógłby pan powiedziéć, że bredzę, ale nie Małgorzacie... — odrzekła niczém niezmięszana dziewczyna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z pośmiertnych dum

Tadeusza Komara.

(Dokończenie.)

Północna dumka.

„Jak podziemnych ogni skra
Dziwnie skrzy się wieszczba twa,
Jak zła gwiazda chmurnych dni,
Niech się święci!... dzięki ci!
Teraz wietrze, niech twój wiew
Mój tułaczy słuch popieści,
Choćby echem bratniéj wieści,
Szmerem tęsknym polskich drzew,
Niech w twarz wionie mi twój wiew!
Nad Dunajem mętnym siedzę,
I z tęsknotą mą się biedzę!

Chory żar mi bije w lica
I zachodzi łzą źrenica!
Och, tułacza gorzka dola,
To niewoli równa wola!...
Więc, o wietrze, wiej i nuć
Co tam w ziemiach polskich czuć!“

„Wierz mi, wiele jest i czuć!
Więc zwątpienie z serca zrzuć!
Rozpacz temu niech przystoi,
Co się wzroku śmierci boi,

Lecz przez krew, nie przez zwątpienie
Kupuje się odrodzenie!
Więc pieśniarzu czuj i wierz
I z serc ległych duchów bierz,
Z ich krwi żywéj, co przystało
By myśl bratnią ubrać w ciało,
Krzep się, kochaj, czyń i wierz!“

„Mógłbym wiele wieścić ci,
Z tych, łzawego dzisiaj, dni,
Co się w duszach polskich śni...
Byle w imię wzajemności,
W imię prawdy i miłości
Bratnią wieść za bratnią wieść
Po szerokim świecie nieść!“

„I cóż, wietrze, chcesz wzajemnie
Oprócz łez i krwi odemnie?
Serce pełne łez i krwi...
Dałbym się zeń napić ci!“

„Starą piosnkę nucisz mi!
I cóż z twoich łez i krwi?
A gdzież czynów boży duch,
W złych przygodach mądry zuch,
Co to pychą swą nie wadzi,
I sam sobie mądrze radzi,
Nie udaje, więc nie zdradzi
Ani druhów, nawet wroga,
Ani siebie, ani Boga!“

„Pełne żółci słowa twe!
Lecz ja wieści polskiéj chcę
W imię prawdy i miłości,
Nie bolesnéj szydu złości!“

„W pląsie wściekłym otom wiał
Nad młodemi mogiłami,
Przed świeżemi kędy dniami
Ostry bój o prawdę wrzał,
Po nad Wisłą, Niemnem, Dźwiną
Po nad Dnieprem, Ukrainą...
Kędy carska dzicz pijana,
Przez swe wodze rozkiełznana,
W ostre się zapasy brała
Z garstką młodzi, co z piosenką
I z bezbronną prawie ręką
W beznadziejny bój się rwała!“

„Do tych mogił jam był posłem!
Od sybirskich śniegów niosłem
Pozdrowienie i westchnienie:
Za tych, co snem sławy legli,
Po swojemu, bo nie zbiegli...
Westchnienie i pozdrowienie
Braciom, którym się udało,
Unieść duszę swą i ciało,
Z zawieruchy i pogromu,
A którym dziś serce w łonie
Bije bądź w rodzinnym domu
Bądź w tułaczym też zakonie!“

„W nocy, z setnych pól bojowych
Z ognisk zgasłych obozowych,
Wykwitają młode duchy...
W księżycowy blask się stroją,
Ni spotkania ich się boją
Wiejska dziatwa i dziewuchy...
Ciche, piękne, zła nie broją
Istne bożych ludzi duchy,
Co za niemi serce wzdycha,
Jeno szepcą rzewnie, zcicha,
Róże ran wskazując krwawe:
„Za ojczyzny cześć i sławę
W bój skoczyli my weseli!
Za was, dla was my zginęli!
Nie żal nam żywota przecie!
To nas li tam w czyścu boli,
Że na bożym dotąd świecie
Bóg nie zdarza wolnéj doli!
I aż dotąd nam nie dano
Do wieczystéj wnijść światłości
Aż nad Polską ukochaną
Błyśnie pierwszy dzień wolności!“

„A coś Moskwę straszy wciąż,
Jak morowéj chusty wiew
Niby za umarłych śpiew...
To sumienia zjadły wąż
Swemi sploty serce ściska,
I zatrutém żądłem błyska...
Sycząc, zbrodnie ich i zdrady
Żywcem im przed oczy stawia,
Niby trupa w czas biesiady
I krwią wino im zaprawia...
Więc o bożych gniewach śnią
I przed własnym cieniem drżą!“

„Za twe wieści, dzięki ci,
Powierniku nasz tułaczy,
Skarg samotnych, tajnych płaczy
Wietrze dziki, żegnaj mi!
Na twe skrzydła lotne weź
Utęsknione me westchnienia
I tułacze pozdrowienia
Nieś, do bratnich słuchów nieś.

Na Mołdawji 1869. **Ludomir.**

Z Moich Wspomnień.

O życiu towarzyskiém w Warszawie

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

Po tak stanowczym pod Vilagos tryumfie, wydał car Mikołaj rozkaz, ażeby ks. Paszkiewicz z najwyższemi oznakami cześci, już na granicy kongresowego królestwa powitanym został. Wszędzie wznieść miano łuki tryumfalne, aż do saméj Warszawy. I miały mu być oddawane honory, jak carowi samemu. To rozporządzenie podobno żywo w. księcia Michała dotknęło. Właśnie zebrano się do śniadania, przed manewrami na polu marszowém. W. ks. Michał był niby wesół, żartobliwy, mówiący — i śniadał przy tém dużo. Potém dosiadł konia — i wszyscy na manewry pojechali. Nagle w. ks. pochylił się na koniu i jęknął. Adjutant ujął wierzchowca za cugle — przeraziła go zmiana zwarzy księcia i zawołał na powóz dworski Przeniesiono doń księcia — który paraliżem rażony został.

W dni kilka potem zjechała z Ischl pospiesznie w. księżna Helena z córką. Książe mówić już nie mógł — ale, spojrzawszy na córkę, która przy łóżku uklękła, oczy jego łzami zaszły.

Skończył ósmego września: w rocznicę, gdy na

czele wojska, r. 1831, wkroczył tryumfalnie do zwyciężonéj Warszawy.

Niedościgłe są wyroki Boże!

Pochód z ciałem z pałacu belwederskiego do cerkwi przy ulicy Długiéj — zatém przez całe niemal miasto — odbył się wspaniale bardzo.

Car Mikołaj dnia tegoż nad ranem do Petersburga wyjechał.

Nazajutrz, po uroczystém nabożeństwie wywieziono ciało do Petersburga, gdzie odbył się pogrzeb.

Śmierć ta i żałoba zmniejszyły poprzednio zapowiedziane tryumfy, którymi wjazd ks. Paszkiewicza powitać miano.

W tym samym podobno roku, przejeżdżał jenerał Lamoricière z żoną przez Warszawę jadąc z Petersburga — i zatrzymał się przez dni parę w Hotelu Angielskim — budząc ciekawość i zajęcie ogólne.

W żartobliwéj pogadance zrobił Włodzimierz Wolski zakład z kilku znajomymi, że rozmówi się z jenerałową. Pośmiano się. Zakład stanął — a wszyscy byli pewni, że go przegra.

Nazajutrz wybrał się w eleganckiém ubraniu, z dwoma świadkami do hotelu — a mając dar powierzchowności, wyglądał pokaźnie wcale. Wiedział od szwajcara, że jenerałowa podobno do kościoła pojechać miała. Kareta zaszła; niezadługo służba na piętrze drzwi od salonów otworzyła; zaszeliściły suknie jedwabne — i ukazała się pani Lamoricière w pięknéj toalecie paryskiéj. Wolski wbiega z eleganckim ruchem po wschodach — dotyka się, przebiegając, niby to nieumyślnie sukni schodzącéj damy, zrywa kapelusz z głowy — jakby ulękły nagle — i z nader grzecznym, salonowym wyrazem, ładną francuzczyzną, przeprasza za niezgrabność swoją. Jenerałowa zatrzymuje się także i odpowiada uśmiechnięta wdzięcznie; Wolski coś tam jeszcze nader zręcznie powiedział; jenerałowa odpowiada znowu; poczém Wolski skłonił się z uszanowaniem. Jenerałowa schodzi. Wolski towarzyszy jéj aż ku drzwiom hotelu. Jenerałowa wsiada do karety; obejrzała się raz jeszcze. Wolski z uszanowaniem pokłonił się znowu — i znowu skinęła mu grzecznie z uśmiechem.

Rozumie się, że zakład wygrał, jak najzupełniéj.

W dni parę potém byłam u Wojcickich — i mówiliśmy o tym zręcznym żarciku poety.

— Ha! ozwał się pan * — druga anegdotka, obiegająca o jenerale Lamoricière po Warszawie, jest mniéj zabawną.

— Cóż takiego? zapytałam.

— Jenerałowie rosyjscy obwozili go po cytadeli, któréj przyjrzał się uważnie bardzo i z głęboką świadomością. Odbył jak najściślejszy przegląd całéj fortyfikacji, położenia zewnętrznego i dalszéj nawet okolicy za pomocą szkieł doskonałych. A następnie wytknął jakieś szczególniéj słabe miejsce... i twierdzenie swoje wykazał. Dnia następnego wyjechał; zaraz nazajutrz inżynierowie forteczni bezzwłoczną zajęli się pracą, by błąd wskazany naprawić.

Anegdotka ta stała się głośną i powszechną. A o ile jest prawdziwą? — Nie wiem.

W zimie r. 1855. zastałam takie same wieczory czwartkowe, jak dawniéj. A nader rzewne przejęło mnie uczucie, gdym była na pierwszym.

Zawsze dużo i bardzo dużo bywało osób. Jedni ubyli — inni znowu przybyli natomiast. I po raz pierwszy spotkałam tamże Biernackiego, sławnego skrzypka naszego; Faleńskiego, poetę — twórcę ślicznéj właśnie powiastki Z daleka i z bliska; — Jana Kantego Gregorowicza, cenionego pracownika na niwie piśmiennictwa ojczystego, którego ludowe powiastki z ukochaniem kreślone, tyle zawierają prawdy; — Kossaka, wielkiéj sławy malarza; — Tytusa Maleszewskiego malarza portrecistę, cenionego już wtedy; — Wilczyńskiego, powieściarza, humorystę, autora Pamiętników starego komendanta, który przedstawił mi się zaraz, by zemną o Auguście pomówić; — a wreszcie i Pawła Bromirskiego — szewca z Gniezna — którego proces familijny właśnie wtedy stał się rozgłośnym tyle. Bohater, jakby powieściowy, w wielu bywał salonach: stał się przedmiotem ciekawości — zajęcia — i modnym. U państwa Wójcickich na każdym czwartkowym bywał wieczorze. Zajmowali się sierotą — i polecali krewnym, zajmującym stanowiska wyższe.

Królikowskiemu Janowi i Komorowskiemu — artystom dramatycznym — opowiadać o Aldridge'u musiałam — bo ten murzyn-artysta ciekawość ich budził. Widziałam go w kilku rolach — mianowicie téż, jako Otella. — I niezawodnie, że gra jego miała całkiem i jedynie li cechę namiętnego, gwałtownego Negra. Podobnego płaczu w piersiach — wrzącego — rosnącego — przemienionego w ryk boleści — pewno nie posłyszę już więcéj.

Tańczono; gwar i wesele coraz szersze przybierały rozmiary. Wymknęłam się do buduaru — by tamże podumać trochę i pogawędzić, jak dawniéj.

Niezadługo nadszedł Wójcicki — i pogadaliśmy is'nie, jak ongi.

— Jakżeż pani znajdujesz Jagodę? zapytał po chwili z rozjaśnionym wyrazem twarzy.

Jagoda nazywali w dzieciństwie córkę Jadwigę — i nazwę tę zatrzymywali niekiedy żartobliwie w obec dawniejszych przyjaciół.

— Milutko rozwinęła się dzieweczka — odrzekłam.

— A z jakiém to ona życiem tańczy, co mnie cieszy bardzo.

Mówiliśmy o starszéj córce, Wandzie — jéj uzdolnieniu i umiejętności; o synach — i różnych na przyszłość zamiarach.

Poczciwy ojciec! — Szczęsne wzruszenie, radość rodzicielska, zamiłowanie w dzieciach — ich nadzieje — przemawiają zawsze do mojego serca, i cieszę się ich szczęściem wraz z niemi — boć to, zaprawdę, najczystsze jest uczucie! —

Po chwili nadeszła pani Rogozińska — najpoczciwsza pod słońcem kobiéta i matka — i także mi o swojéj Władysławie mówiła, któréj wdzięczne poezje, zamieszczane w pismach warszawskich, uwagę zwracały.

Nazajutrz odwiedził mnie Stary komendant — a młody jeszcze co do wieku pisarz — i wiersz na upominek złożył mi do albumu — umilkł następnie. — Zatém tą literacką pamiątką podzielę się z Wami.

Gdzież jest młodość, gdzie te czary,
Co to ze serc przodków wiały?
— Dzisiaj każden młodzik stary,
Tak, jak starym ten świat cały.
I jam dawną przybrał rolę,
Jam się wszczepił w przeszłość naszę
I w dzisiejszém stawił kole
Zardzewiałe krwią pałasze.
Bo komendant wojak stary
Umie tylko furbeczkować,
Gdzież więc jemu szukać miary
I wierszydła komponować?!
Dajno jemu w rękę szablę
I wiarusów dawnéj daty,

Przytém postaw sto tysięcy —
Albo nawet jeszcze więcéj!

....

Dawniéj, Pani, lżéj to było,
Wiersz się sypał, jak z rękawa;
Czy hulanka — pogadanka,
Do kielicha — czy do tańca,
Do miłości — do różańca,
Serce żywiéj jakoś biło —
Inaczéj się wtedy żyło!
Ale teraz? — trudna sprawa,
Wszystko zaschło na nic w człeku.
W nowomodnym waszym wieku
Ciężko szukać rozczulenia,
Kiedy życie jak z kamienia
Idzie na tym Bożym świecie.

....

I przy takiéj ciężkiéj doli
Chcesz, bym wiersze mógł Ci skleić?
Wyznam szczerze, nie brak woli,
Ale kiedy serce boli
Trudno wtedy się weselić!
A więc kiedy słońce nowe
Z za chmur ciemnych wznosząc głowę,
Nasze oko rozpromieni,
Wtedy, wtedy w nowéj ziemi
Wszyscy zabrzmim hymnem chwały,
Że odmłodniał świat ten cały! —
(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kronika tygodniowa.

W chwili gdy biorę się do napisania dzisiejszéj kroniki dochodzi mnie wiadomość, z pewnego zaczerpnięta źródła, o niezmiernie ważnym dla Wielkopolski wypadku — zawiązaniu stowarzyszenia meljoracji, mającego na celu podwyższenie wartości ziemi naszéj za pomocą tych wszystkich ulepszeń, jakie wiedza na tém polu poczyniła, a które do dziś dnia niewielkiéj tylko części obywatelstwa naszego było dostępném. — Aby nas jednak nie posądzono o przesadę doniosłości tego faktu, pozwolimy tu sobie w sprawie téj słów kilka powiedzieć.

Rolnictwo nasze w obec rolnictwa innych krajów Europy stoi dotychczas na niezmiernie nizkim szczeblu, mimo że Poznańskie przoduje jeszcze w téj mierze innym częściom Ojczyzny; podczas gdy w innych krajach a zwłaszcza też w sąsiednich Niemczech każdy kawałek gruntu umiano zużytkować aż do ostatnich krańców — u nas obszary całe stoją nieraz odłogiem bądź to z powodu zbytecznéj wilgoci, bądź z zupełnego jéj braku. Jak jednemu tak drugiemu złemu można zapobiedz za pomocą nawadniania i drenowania, a wówczas owe obszary, dziś chyba tylko niezdrowemi wyziewy zarażające powietrze, staną się użytecznymi łanami przedstawiającymi znaczny kapitał. Aby jednak podobne ulepszenia w ziemi swéj przeprowadzić, trzeba nam było dotąd znacznych zasobów pieniężnych, których rzadko kiedy dostarcza zwykły ziemski majątek. Celem więc przyjścia w pomoc obywatelom w pracy około podwyższenia wartości ziemi i zrównania się tym sposobem z rolnictwem innych krajów zawiązało się wyżéj wspomniane stowarzyszenie. Spółka bankowa, znana u nas pod nazwą Tellusa wraz z inżynierem p. Wyczałkowskim przedsiębiorą, pobobno już od 1 lipca, prace tego rodzaju na wielką skalę własnymi kosztami, których zwrot rozłożony następnie zostanie właścicielowi gruntu na lat sześć sposobem amortyzacji z siódmym procentem. Jakim to będzie ułatwieniem dla pomniejszych posiadaczy ziemskich, o tém nie potrzebuję mówić; że majątki nasze więcéj przynoszące dochodu mniéj zadłużane zostaną a przez to rzadziéj w ręce obcych przechodzić będą, w to pozwólcie mi wierzyć, bo myśl ta prawdopodobnie też skłoniła do wprowadzenia w życie obecnego stowarzyszenia spółkę Tellusa, któréj przecież pierwotném zadaniem jest niedopuszczanie sprzedaży dóbr, tak częstéj w ostatnich czasach.

Drugim, obok braku kapitałów, powodem, dla którego wszelkie takie ulepszenia w kraju naszym ogromnie utrudnionemi były, jest brak ukształconych w tym kierunku specjalistów. I tę drugą przeszkodę świeżo zawiązane stowarzyszenie usuwa, zakładając wielkie bióro, w którém znajdzie pomieszczenie wielu zdolnych naszych techników, co dotąd zmuszeni często byli u obcych szukać pracy i bytu. Ile obok tego tysięcy rąk zatrudni stowarzyszenie, ilu ludziom istnienie zapewni! — jest to fakt niezaprzeczenie równéj z pierwszym doniosłości, bo wnosi w kraj ogromny kapitał dobrobytu.

Wreszcie jeden jeszcze wzgląd więcéj przemawia za całą ważnością rozwijającego się przedsiębiorstwa, i korzyściami, jakie za sobą pociąga — jest to wzgląd sanitarny; łąki wilgotne, torfiaste lub bagniste, których u nas w Księstwie jest liczba niemała, latem parując i rozkładając porastającą roślinność, przeważny wpływ wywierały na zdrowie okolicznych mieszkańców, roznosząc febry, gorączki i inne epidemiczne zarazy. Dowiedzioném jest przez medyków, że tyfus, który rok rocznie niemal niektóre okolice Księstwa nawiedza i który stał się poniekąd już jego chroniczną chorobą, bierze źródło w tém właśnie bagnistém położeniu; zdrowy sąd ludu nawet nadaje częstokroć tym miejscom (jak n. p. jednéj z łąk naszego miasta) nazwę łąki febr. Spuściwszy wodę zatém i uczyniwszy ją z nieprzyjaciela naszym sprzymierzeńcem, co więcéj podwładnym nam żywiołem, który zaprządz można do wszelkiéj pracy, oczyści się tém samém powietrze ze szkodliwych miazmatów i wpłynie na zmianę i poprawę klimatu.

Za jakie więc lat dziesięć lub dwanaście jakże znakomicie postąpi Księstwo na drodze ulepszeń, jak inną zwolna przybierze postać, nietylko bowiem w zakres prac stowarzyszenia wchodzą wyżéj wymienione ich rodzaje, ale jeszcze podejmuje się ono budowy mostów, kanałów, szluz, cegielni, upustów i t. p. na tychże warunkach, przez co każdy właściciel niepostrzeżenie niemal przyjść może do ulepszonego, wedle obecnych pojęć, gospodarstwa, a rolnictwo nasze uczyni ogromny krok naprzód.

O ile nam powiadano, stowarzyszenie nie ograniczy swego pola działania samém Księstwem, lecz szerszą zakreśliwszy sobie arenę, obejmie Galicję i Prusy Zachodnie; pragnąć by nam jedynie wypadało, aby działalność jego rozlała się na Królestwo, gdzie nietylko ulepszeń na tém polu ale częstokroć radykalnych potrzeba przewrotów.

Niech nam więc wolno będzie gorące wyrazić życzenie, aby stowarzyszenie, w tak zacnym poczęte zamiarze, wydało jak największe dla kraju owoce, ku czemu koniecznem jest współdziałanie obywateli. Ufamy, że pójdą oni ręka w rękę z nowo zrodzoną myślą!

* * *

W obec ważności tego faktu wszystkie inne, jakie mielibyśmy do zapisania z życia Wielkopolski, pełzną i maleją; na ten raz więc jedynie notatką świeżo wyszłych książek z czytelnikami się dzielimy. W Lwowie ukazało się: Józefy z Śmigielskich Dobieszewskiéj „Wychowanie kobiét w obec dzisiejszych dążeń społecznych“; jest to szereg odczytów, które znana ta autorka miała w ciągu téj zimy dla kobiét we Lwowie. Zdrowe idee do-

brze pojętego postępu, jasne a umiarkowane poglądy, przeciw którym tylko istotnie zacofani ludzie wystąpićby mogli, cechują tę książkę, niezmiernie obok ważności swéj treści zajmującą. Polecamy ją szczerze wszystkim myślącym kobiétom. — Również we Lwowie wyszły „Opowieści Stepowe“ Paulina Stachurskiego, których rozbiór szczegółowy pozostawiamy naszemu literackiemu sprawozdawcy; co do nas, przypominaliśmy sobie, czytając je, powieści kozackie Czajkowskiego, do których kolorytem, stylem a często nawet językiem nadzwyczaj są zbliżone. — W Lipsku u Kasprowicza: „Z teki Mameluka Galicyjskiego“, we Lwowie „W sprawach szkolnych“ napisane przez Dr. Urbańskiego, „O kwestji robotniczéj“ przez B. Limanowskiego, broszura z odczytu w „Gwiaździe“ Lwowskiéj, w Poznaniu wreszcie u L. Merzbacha „Zgoda duchowieństwa z narodem.“ — Z pism perjodycznych wreszcie mamy tu do zapisania powstałą na gruzach Dziennika literackiego i Mrówki „Wolę“; — silnéj bo téż potrzeba woli, aby przełamać obojętność publiczności, która zawsze otacza wszystkie galicyjskie perjodyczne publikacje. Jako objawowi życia w narodzie, jak każdéj polskiéj pracy zasyłamy staropolskie „szczęść Boże.“

* * *

Na zakończenie wreszcie dzisiejszéj gawędy donoszę, że serja znanych Wam portretów wybitnych narodowych postaci, p. Maleszewskiego, zwiększoną zostaje wizerunkiem Mikołaja Kopernika, rysowanym podług obrazu Ghirlandajo. Przedpłata, którą nadsyłać téż można do redakcji Tygodnika, na tę litografję wynosi 2 talary.

W.

Korespondencja z Krakowa.

Kraków, 25 maja 1871.

W pierwszych dniach maja telegram z Wiednia przyniósł nadzwyczajną wiadomość dla naszéj prowincji o utworzeniu w Krakowie akademji nauk i umiejętności. Gdy się wieść ta po mieście rozeszła, wiele bardzo osób nie mogło jéj zrozumieć, wiedząc że Kraków akademję od wieków posiada, a innéj nie umiano sobie wyobrazić. Podobno książę Jerzy Lubomirski, członek Tow. Nauk. Krak. i kurator zakładu Ossolińskich we Lwowie, głównie miał się o nią postarać u cesarza; p. Majer, prezes Tow. Nauk. Krak., nie przypuszczając wcale pomyślnego w tym względzie rezultatu, dopiéro udał się do Wiednia wtedy, gdy sprawa dojrzała bez jego udziału. Dotychczas działalność Tow. Nauk. Krakowskiego spoczywała na ofiarnéj gorliwości jego członków, na moralnéj powadze nauki, na funduszach składkowych członków i na darach prywatnych osób, a jednak można się było przekonywać z roczników Towarzystwa, że prace podjęte z zamiłowania przynosiły owoce, które cesarski akt fundacyjny Akademji nauk i umiejętności wyraźnie uznaje. Wprawdzie szanowne grono liczy pośród siebie trochę indywiduów tępych, chociaż z dobremi płucami, ale jestże zakątek jaki na ziemi, gdzieby ich nie było... Ludzie, co zdolnościami i nauką nie mogą się poszczycić, a pragną w świecie znaczenia lub jakiegokolwiek stanowiska, usiłują chociażby krętym sposobem wypłynąć na horyzont przez tytuł członka Tow. Naukowego. Tacy kilkakrotnie odepchnięci, nie zrażeni niczém, w końcu celu dopinają.

Rozum niby odrzuca formę, biorąc za podstawę wartości nagą prawdę, a jednak ludzie potrzebują ją mieć przystrojoną w szaty. Tak i Tow. Nauk. Krakowskie odziane w togę urzędową innego w oczach publiczności jako téż i władz nabierze znaczenia. Wtedy i p. Dobieszewski, referent spraw lekarskich w wydziale krajowym, przestanie być najwyższą instancją w medycznych kwestjach. Z woli księżnéj Sapieżyny powołany na wspomniane stanowisko z Warszawy, nie jest nawet doktorem, lecz lekarzem, według praw pod moskiewskim rządem udzielających dyplomy medyczne pierwszéj i drugiéj klasy. Brak tych dwóch głosek dr. przed nazwiskiem, bardzo już dużo kosztuje zachodów p. Dobieszewskiego, bo gdy nie słuchał trzech obowiązkowych przedmiotów dla doktora medycyny, jako to: anatomji patologicznéj, sądowéj i policyjnéj medycyny, nie pozwolono mu zdawać tu egzaminów bez dwuletnich studji na wszechnicy. Rad nie rad zapisał się pan referent na ucznia uniwersytetu Jagielońskiego, ale nie uczęszcza, mieszkając we Lwowie, nie w Krakowie, ufając, że tymczasem petycja rady powiatowéj z Kamionki Strumiłowéj dla wygody p. Dobieszewskiego i jemu podobnych osób uchwalona usunie ogólne prawo państwowe przy doktoryzacjach. Wystosowanie tego rodzaju petycji przez radę powiatową i poparcie jéj przez wydział krajowy daje dziwne wyobrażenie o pojęciach obywateli galicyjskich, że dla grymasu jednostki może być zasada prawa usuniętą.

Dr. Gilewski wydziałowi medycznemu zaproponował wysłanie adresu do X. Döllingera w Monachium, co téż z wielką radością podchwycono i zaraz w czyn wprowadzono. Profesorowie z wyjątkiem małym wszyscy adres podpisali a za niemi z gorliwością cała młodzież medyczna. Gdy się to dzieje, dziennik „Czas“ z zwykłą sobie złośliwością napadł na wydział medyczny za adres do Döllingera, posługując się jeszcze kłamstwami, jakoby dr. Gilewski z katedry kwestję tę traktował i pod groźbą szkodzenia przy examinach podpisy od uczniów zbierał. To zmusiło akademików do protestu a w następstwie do manifestacji, któréj celem miało być okazanie własnéj nieprzymuszonéj woli przy podpisywaniu adresu. Owacja odbyła się dn. 8 maja w postaci pochodu z pochodniami z gmachu medycznego poprzed mieszkanie dziekana wydziału, i na głośnych wiwatach na cześć jego. Za danym hasłem przez „Czas“ agitacja ultramontańska rozpoczęła wojnę z całą naukową inteligencją. Z ambon zagrzmiały klątwy na doktorów, na akademję, na młodzież w ogóle a nawet ksiądz S. użył za powód do podburzania pospólstwa przeciw medykom, że ci w prosektorjum nawet kobiety krają! Następstwém tego była burda przed kościołem św. Florjana na Kleparzu dnia 11 maja, gdzie tamtejszy administrator osławiony ksiądz Z. Golian miewał kazania codzień na nabożeństwie majowém. Agitatorowie ultramontańscy obojéj płci podburzyli motłoch w całém tego słowa znaczeniu, zawalający szynki i zapełniający kryminały, do napaści na młodzież. Przy wychodzeniu więc z kościoła z kijami, pałkami rzucano się na studentów, zwłaszcza na tych którzy mieli kapelusz cylindrowy na głowie. Dewotki przyklaskiwały rozbojom, a stronnicy X. Goliana łapali uciekających i oddawali w ręce oprawców. Przybyłego urzędnika policji z 6 żołnierzami pobito; dopiéro gdy ich dwudziestu sprowadzono, motłoch pierzchnął, zostawiając kilku w rękach władzy; rannych odnoszono do domów. Na następny dzień t. j. na 12 maja młodzież cała gotowała się do odwetu, a motłoch do obrony, lecz zakaz X. Golianowi miewania kazań przez władzę kościelną odwrócił katastrofę. Skończyło się na przeciąganiu wzburzonych tłumów z klasy rzemieślniczéj w stronę klasztoru Jezuitów przy ulicy Kopernika. Słyszeć się tylko dawały okrzyki zemsty na kleparski motłoch za pobicie inteligencji i objawy nienawiści do Jezuitów. Policja rozwinęła wieczorem czujność z poparciem żołnierzy. Zamknięto wejście dla tłumów

w ulicę Kopernika, patrole pozakładawszy bagnety na karabiny przybrały postać zaczepno-odporną, a że podburzycieli nie było z żadnéj strony, młodzież wcale do burd mięszać się nie myślała, więc powoli wrócił téj nocy stan spokojny.

Tymczasem jeden z najzacniejszych ludzi w Krakowie, dotąd powszechnie od wszystkich stronnictw poważany Piotr. hr. Moszyński wystąpił z ogłoszonym w „Czasie“ memorjałem do Rektora Uniwersytetu, aby skarcił dziekana wydziału medycznego, i aby senat akademicki orzekł, że wszechnica Jagiellońska była, jest i będzie warownią religji Rzymskiéj. Rektor zebrał senat, nie zapraszając dr. Gilewskiego na zebranie, przez co obraził cały wydział medyczny, a pomimo wyraźnéj stronności rektora i kilku ultramontańskich profesorów, senat nie uznał nawet za godne rozbierać memorjału przedłożonego. Nie wchodząc w treść jego, już samo podanie schodzi ad absurdum, bo Uniwersytetowi nie może narzucać swéj woli żadna korporacja, ani władza, a tembardziéj lada jednostka; Wszechnica posiada swoje prawa.

Za przykładem hr. Moszyńskiego ogłosił „Czas“ kazanie do młodzieży p. Tomasza Czecha, byłego sędziego, dziś podobno warownika, gdzie nawet za zbrodnię akademikom poczytuje sprostowanie fałszów podanych przez „Czas“ i używszy znanych frazesów o kajdanach i cierpieniach współrodaków na Syberji, ogłasza młodzież krakowską za zdrajców sprawy narodowéj... (sic) Rozdrażnienie szerzy się podsycane z ambon przez apostołów ciemnoty i nienawiści i to dzieje się w imię Zbawiciela, w imię wiary, któréj miłość podstawą!

Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia tu słów wielkiéj sławy męża Dra K. Libelta z rozprawy o miłości ojczyzny bo zaprawdę złotem trzebaby je pisać na marmurowych płytach.

„Nie wierz faryzeuszom, by też poświęconym, którzy powiadają, że kochają Boga, a ojczyzny nie miłują a dziatwę jéj rodzoną prześladują. Kłamią bezczelnie i Bóg kiedyś odrzuci ich od łona swego, bo sam Bóg-człowiek ojczyznie się swojéj poświęcił, jéj saméj słowa Boże opowiadając.“

„Skoro żywotem zupełnym i ostatecznym celem narodu jest myśl boża, którą za powołanie swoje odebrał, a Bóg jest Bogiem prawdy, wolności i postępu, miłość też najzupełniejsza ojczyzny będzie miłością tego trojga. Światła! światła! wołaj, jak konający, którego już ciemności wieczne ogarniają. Wolności! wołaj, jak powietrza do odetchnienia. Naprzód! wołaj, bo żywot jest postępem, a stagnacja śmiercią, a wsteczne dążenia rozkładem ciał chemicznym W kościele i państwie zatknij chorągwie z napisem prawdy, wolności i postępu, i pod te chorągwie gromadź oświatę narodu twojego. Giń, gdy trzeba za prawdę, za wolność, za postęp, bo zginiesz w spełnieniu missji od Boga wziętéj, a zatém zginiesz za Boga.“

Restaurację Sukiennic rozpoczyna p. Plater już tego lata. Odnowa zacznie się od tych robót w murach, które są niezbędne dla postawienia nowego dachu, bo obecny jużby przyszłéj zimy nie przetrzymał. Za lat trzy ma ten śliczny zabytek przeszłości, odnowiony, ozdobiony i do dzisiejszych potrzeb zastosowany stanąć gotowy pod kierunkiem bardzo zdolnego budowniczego wysłanego z ramienia hr. Platera, który sobie u obcych zjednał już sławę.

Obecnie drugi piękny gmach publiczny wzięto nareszcie w opiekę: pałac biskupów krakowskich spalony w pożarze Krakowa w r. 1850. Odnowa rzeczonego gmachu postępuje żwawym nader krokiem, a w lipcu ma się tu przenieść Towarzystwo sztuk pięknych. Wspaniałe teraz znajdą pomieszczenie obrazy w pałacu biskupim; sale są tu wielkie, wysokie, z oknami ogromnemi, widne, z światłem w trzech salach południowém, a w drugich trzech północném; wchód przepyszny, odpowiedni przybytkowi sztuki, przez portyk na dole, szerokie wygodne wschody wiodą do westibulu na piętrze, zkąd dwoje drzwi prowadzi do sal dalszych.

Mówiąc o Tow. Sztuk Pięknych nadmienić mi wypada, że dyrekcja ma zamiar wydawać premje dla członków swoich w kształcie albumu, gdzieby się mieściło 6 lub 8 małych rozmiarów rycin, z całorocznéj wystawy wraz z tekstem. Myśl to szczęśliwa; a zawdzięczać ją należy p. Redlichlowi sztycharzowi. Przed kilku tygodniami przybył tu p. Zygmunt D. obywatel, podobno z zachodnich Prus, mieniący się być znawcą i amatorem sztuk pięknych i zbieraczém zabytków z przeszłości. O ile mi wiadomo, na wystawie dzieł sztuki obrał sobie do nabycia dwa przedmioty; popiersie Chrystusa w marmurze wykute przez W. Brodzkiego i obraz olejny Walerego Eljasza przedstawiający ks. A. Kordeckiego w czasie oblężenia Częstochowy. Dla zapewnienia że ugodę na serio prowadzi zostawił w dyrekcji swój bilet. Gdy na projektowane kwoty artyści obaj się zgodzili, pan amator sprowadzał znajomych ze sfery arystokratycznéj krakowskiéj dla oglądania nabytych przez siebie przedmiotów, ale skoro przyszło do zapłaty, p. D. zniknął bez wieści.

Pan prezydent miasta Krakowa w kłopotach.

Obrazek sceniczny w 2 aktach

napisany przez

Józefa Narzymskiego.

(Dalszy ciąg.)

Scena V.

Też i Lichocki.

Lichocki (stękając.) A Jezus!... o mój Boże!... oj... oj... tabureta!... a wystawcie sobie!... oj! mój krzyż!... oh!... oh!... imaginujcie sobie... romatyzm wrócił!... nieprzymierzając... oh!...

(kobiéty sadzają go na fotelu.)

Andzia. Co papie takiego?...

Scholastyka. Pan brat zmęczony!...

Lichocki. Ba!... ba!... jeszcze się pytają!.... oj ta ojczyzna nieprzymierzając... ta ojczyzna!... (wołając) Małgorzato!... Małgorzato!.... o la Boga (chwyta się za ucho) Znów romatyzm...

Scena VI.

Ciż i Małgorzata.

Małgorzata. A czego jegomościuszek pożąda?...

Lichocki (jęcząc.) Materacyka... na romatyzm... materacyka!...

Małgorzata. Hi!.... hi!.... hi!.... (porywa się pod boki i śmieje się.)

Lichocki. A tobie co?... Oszalała nieprzymierzając.... oh!......

Małgorzata. A dyć jegomość taki zawalany, jakby gdzie leżał... (znów wybucha śmiechem) pan prezydent... (śmieje się) leżał między!... o la Boga!...

Lichocki (rozzłoszczony.) A niech cię!... (chce się porwać ale łapie się za krzyż i siada) Scholastyko!..... ratuj mnie!... materacyka i rosołu i wina!...

Scholastyka. Małgorzato! słyszałaś!... natychmiast przynoś to!...

Małgorzata. Zaraz... zaraz... (wychodzi mówiąc) Jakby leżał między!... (śmieje się) pan prezydent! rety!... reteczki!... co się dzieje!...

Andzia. Ale co się papie stało?... Taki zmęczony.... zabłocony......

Scholastyka. Tak... tak, niech nam pan brat opowie czy może bandyci, bo czytałam... że raz we Włoszech.....

Lichocki. A bandyci!... bandyci!... ale czekajcie!... niech odpocznę... niech odetchnę... oj! oj! moje ucho!.... mój krzyż!... (Małgorzata wnosi rosół i wina) A przecież!.... przecież!... (pije z chciwością rosół, potém wino. — Małgorzata obchodzi go do koła i dusi się ze śmiechu) No!... teraz mi lepiéj trochę (do Małgorzaty) Czego ty się śmiejesz głupia!...

Małgorzata. Kiedy bo jegomość taki dziwny z tą łopatą!......

Lichocki. Idź precz!.. (n. s.) Jak człowiek nie prezydentem to byle kto się śmieje... jak z głupca.... nieprzymierzając...

Andzia. Ależ papa nam nic jeszcze nie powiedział!.....

Scholastyka. A tak..... tak..... niech nam pan brat opowié......

Lichocki (w ciągu opowiadania stęka ciągle.) A no, owóż opowiem..... nieprzymierzając moją biedę..... Jak onegdaj dał mi dymisję niesprawiedliwie ten ks. Kołłątaj... Oho!... piękny mi ksiądz!... z jakóbinami trzyma!......

Andzia. Ależ to ma być bardzo zacny i rozumny człowiek......

Lichocki. Aha!... Mądry prałat, nieprzymierzając!...... do wojskowości niema apetytu, jeno zarządzać skarbem i cywilnością, nieprzymierzając, a ekwilibrycznie chce utrzymać terroryzmem równość osób i majątków między obywatelami... oho znam ja go!......

Andzia. Więc cóż ksiądz Kołłątaj?

Lichocki. A cóż? jak wiesz, ten zacny prałat podbechtany od zgrai patrjotycznéj mnie nieprzychylnéj, dał rozkaz komissji porządkowéj, żeby mnie rugowała z Magistratu i na stołku prezydenckim osadziła tego... tfu!... Wohlmana... a przy nim świtę jego adherentów, experjencji prawa nieznających, ale patrjotów, jak Kuczerowicz, Laszkiewicz i inni....

Andzia. Ale czemu papa nie jest patrjotą?...

Lichocki. Tfu!.... Filip Nereusz Lichocki prezydent miasta... patrjotą vel warjatem!... a to mi się podoba!.....

Andzia (wzruszając ramionami.) Ale cóż daléj?...

Scholastyka (n. s.) Gdzieby tu dostać borsuczych zębów...

Lichocki. Czekajcie!... Żal ci mi było prezydentury bo to nieprzymierzając jak dobre biskupstwo, ale myślę sobie: Dzięki Bogu, żem aby cało wyszedł z pomiędzy tych Herodów i Kajfaszów!... Więc mówię sobie: jestem teraz nieprzymierzając beatus!... Ale nieprawda!... Godni patrjoci przypomnieli sobie o mnie i przysłali wczoraj, żebym przyszedł okopy kopać...

Andzia. I o tém wiemy!...

Lichocki. Czekajże! Tak ja się siarczyście oburzyłem, bo, czy to nie koniec świata, żeby pierwszy urzędnik miasta, wczorajszy prezydent, nieprzymierzając ziemię kopał!... aż tu pod oknami słyszę vivat!... vivat!.... Co się dzieje?... patrzę!.. a to pan Kubecki, co ma sklep w szaréj kamienicy paraduje z łopatą na ramieniu!.... A uliczniki i paupry wrzeszczą vivat!... No, tak co było robić?... Stuliwszy ramiona i uszy i ja nieprzymierzając za łopatę, i daléj do szynkowni Barczeza gdzie się patrjoci schodzą, a potém na Wesołą...

Scholastyka. Na Wesołą?...

Lichocki. Oj! smutna ona dla mnie była wczoraj!.... smutna ta Wesoła!... Musiałem kopać!...

Scholastyka. Pan brat kopał?... naprawdę?

Lichocki. Naprawdę, jak naprawdę!... ale nieprzymierząjąc przewracałem ziemię...

Scholastyka. Mój Boże! prezydent kopaczem!...

Lichocki (rozrzewniając się.) Tak, tak, pani siostro! tak!... szczera prawda!... (pokazując dłonie prawie z płaczém) tak!... Te... te... prezydenckie ręce trzymały po raz pierwszy łopatę... tak!... Od Noego nikt o takiém dziwie nie słyszał (p. k. m. machnąwszy ręką) Ah! świat się przewraca!...

Scholastyka. Jezus Marja!... to zgroza!....

Andzia. I papa się bardzo zmęczył?

Lichocki. To pytanie!... A co wyśmiewań było od patrjotów i patrjotek....

Scholastyka. No, no... no... co to za ludzie, tak panu bratu dokuczać...

Lichocki. Ale tego nie dosyć!... O północy wymknąłem się nieprzymierzając z téj zgrai i poszedłem do domu. Romatyzm mi łupał w głowie.... przychodzę do Florjańskiéj bramy, a tu buch! zamknięta!... Stałem z godzinę a potém musiałem się przespać nieprzymierzając u szewca na Kleparzu na gołéj ziemi...

Scholastyka. Na gołéj ziemi!... Jezus Marja!...

Lichocki. Na goluteńkiéj!... ja prezydent!... do czego to przyszło! Mój Boże!...

Andzia. No, papeczko!... trzeba znieść cierpliwie.... to dla ojczyzny!...

Lichocki. A piękna mi ojczyzna, gdzie prezydenci wały muszą kopać... śliczna ojczyzna (pod oknem z lewéj strony słychać okrzyki) A to znów co takiego?..... (zbliżają się do okna) Aha!... to te pieśni przez wysmażone akademickie mądre subjekta pokomponowane co je śpiewają bez ustanku!.. to jakiś pochód nieprzymierzając!... A skaranie Boże...

Andzia (klaszcząc w ręce przy oknie.) Państwo państwo!... patrzajcie!... Kosynierzy i ułani i strzelcy!... oh! jakie to śliczne!... serce chce wyskoczyć.

Scholastyka. Mój dystyngowany Kapitan idzie na czele... jakie nieszczęście, że bukietu nie mam!... Byłoby jak w romansie!... (słychać huk bębnów — a potém muzyka gra za sceną poloneza Kościuszki.)

Głosy. Wiwat kosynierzy!.... wiwat!...

Andzia (wiewając chusteczkę.) Brawo!... brawo!.... vivat!...

Scholastyka. Przypomina mi to pochód tryumfalny Sir Lavransa...

Lichocki (odciągając Andzię.) Oszalałaś! czy co?...

Andzia (trzymając się przy oknie.) A teraz gwardja Krakowska!..

Lichocki. A dalibóg prawda! pan Sztumor, pan Schmidt, pan Jordan... pan Józef Czech!...

Andzia. I Feliks, i Feliks!...

Lichocki. I wszystko to z karabinami jak gdyby nigdy nic!... (słychać znów muzykę) poszaleli nieprzymierzając.

Głosy (za sceną.) Wiwat gwardja miejska!... wiwat!...

Lichocki. Czego to bydło wrzeszczy!...

Jeden głos. Lichockiego na latarnię!... na latarnię!...

Andzia (cofając się) Ah! (zakrywa twarz.)

Lichocki. Co?... co?... a no co! niema rady, krzyczéć trzeba!... (wychylając się szybko) Vivat!.... vivat!... niech żyje gwardja!

Głosy. Na latarnię kto w gwardji nie służy!...

Lichocki. Na latarnię z nim!... Vivat gwardja! (wiewa chustkę ciągle krzycząc — muzyka się oddala — hałas zwolna ustaje — Lichocki się cofa z okna) A niechże ich!.. to mi napędzili strachu dopiéro!.., Ha!... spociłem się jak mysz nieprzymierzając... A czy końca z tém nie będzie!.... (siada na fotelu i obciera chustką czoło) Andziu! nieléj mi wina!... No! czego beczysz?...

Andzia. Bo papy tak nie lubią....

Lichocki. Ah! wielkie rzeczy! bom nieprzymierzając nie taki warjat jak oni!... Bom sobie porządny i stateczny człowiek, i choć bez urzędu, zawsze nieprzymierzając były prezydent. I ojczyznę kocham po swojemu, rozsądnie... w samo prawie, jak porządny obywatel mający posessję... kochać ją powinien... (pije wino) No, nie płacz.. nie płacz!... (głaszcze ją)

Andzia. A i dla mnie papa nie dobry!... Panu Budzyńskiemu nawet bywać papa zakazał....

Lichocki. Już ty jego sobie wybij z głowy! To taka szalona pałka jak i inni nieprzymierzając! Ja chcę zięcia słusznego obywatela jakem sam jest... A za jakóbina cię nie wydam; prędzéj mi tutaj włosy wyrosną!... (otwiera dłoń) Mój Boże jakie to pęcherze!....

Scholastyka. Wszelako panie bracie!....

Lichocki. Aha! to i Ty panno Scholastyko głowę mi kruczyć zaczynasz!... Dosyć już było nieprzymierzając humorów!...

Scholastyka (obrażona). A! panie Filipie!... godzi się to tak naigrawać z cudzego nieszczęścia!...

Lichocki. Wielkie nieszczęście!... że asińdzka... wyglądasz jak piwonja nieprzymierzając... (do Andzi) A tobie raz jeszcze powtarzam!... Wybij sobie tego człowieka z głowy!...

Andzia (płacząc.) Ojciec mnie nic nie kocha!....

Lichocki. Niby to ty zasługujesz się na to! Trzy tace srebrne i dwadzieścia dwa dukaty!.... Jak sobie to przypomnę to mi nieprzymierzając aż serce pęka!... No, ale dosyć tego! Idźcie sobie asińdźki do siebie, a ja się przedrzémię trochę!....

Scholastyka. Życzę panu bratu spokojnego snu!...

Andzia (n. s.) Co począć? co począć?

Scena VII.

Lichocki (sam.)

A a a!... trochę mi teraz lepiéj!... Żeby tak chrapnąć!... A lamparty!... ulicznikі!... Herody!... Kazać mi kopać ziemię... jak nieprzymierzając parobkowi jakiemu!... To dla miłości ojczyzny kochanéj!... osły dardańskie!... I ja dobrze życzę ojczyznie (ziewa) bardzo dobrze (ziewa) Jak Boga kocham ja jéj złego nie pragnę... służyłem jéj na prezydenckim urzędzie lat tyle! (ziewa) ale za taką ojczyznę, która z urzędu wypędza.... i jeszcze kopać każe... Dziękuję... ślicznie dziękuję! (zaczyna drzémać) Albo co to za persony w téj ojczyznie teraz!... (p. k. m.) taki Kołłątaj!... piękny mi prałat!... Kościoły obdziera ze skarbów na ojczyznę!... (p. k. m.) Albo ten pan Kościuszko!... Aj! aj!... znów ten romatyzm!... oj! ojczyzno!... ojczyzno!... (poprawia się i oczy przymyka) No!.... szkoda prezydentury!... nie ma co!... (p. k. m.) Ale jak sobie da radę... ten... ten... Wohlman... hi... hi... hi... żadnéj experjencji rządu! (p. k. m.) Oni myślą, że prezydentem nieprzymierzając byle kto być może... oho!... oho!... ani za sto lat takiego jak ja prezydenta Kraków nie znajdzie! Trzeba się urodzić na to (p. k. m.) Szkoda... no!... ale sobie jestem nieprzymierzając spokojny!... więcéj przecież wymagać odemnie nie mogą!... dałem tyle... kopałem... kopałem!... tak! teraz kwita!.... beatus sum!... (przez sen) beatus... beatus... jesteś... Filipku Nereuszu (chrapie, po krótkiéj chwili słychać pukanie do drzwi, Lichocki budząc się) Beatus sum!... a tam kto?... (silniejsze pukanie) A tam kto tak rumocze?... (gwałtowne pukanie) A kto tam?

Głos gruby. A Wejta!... No ja!....

Lichocki. Kto taki?

Głos. Otwóz jegomość, to zobacyta... Tylko zwawo!...

Lichocki. Zaraz! zaraz!... (n. s.) A skaranie Boże! może znów kopać! (otwiera stękając. Wchodzi Antek, ubrany w koszuli, rękawy zawinięte za łokieć — fartuch pokrwawiony Lichocki cofając się) Jezus Marja! czyto nie od mistrza deputat nieprzymierzając!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Szkice z podróży w Tatry

przez

Walerego Eljasza.

(Ciąg dalszy.)

Ogłoszono tedy tych samych zbójników za wyjętych z pod prawa i każdemu wolno ich było zabić. Pewnego razu czterech ludzi, między nimi jeden leśniczy, wybrało się w lasy Bukowińskie (przy dolinie Białki) przeciw opryszkom. Rano przed świtem jeden z nich wyszedł na drzewo, aby zobaczyć, czy się gdzie nie dymi, bo zbójnicy zwykli gotować mięso i nocować przy ogniu, i postrzegł dym w stronie Rusinowéj Jaworzyny, poczém wszyscy ruszyli w wytkniętym kierunku otaczając legowisko zbójników naokoło. Padły strzały, pierwszego położono trupem, herszta bandy, a za nim po dzielném a nagłém natarciu polegli wszyscy zbójnicy. Działo się to koło roku 1830.

Potém trafiali się jeszcze w Tatrach rabusie, ale już nie opryszki w właściwém tego słowa znaczeniu, lecz zwyczajni złodzieje nocą podkradający się do bogatych ludzi, gdzie brali, co się udało.

Bandą takich urwisów dowodził przed 20 laty niejaki Gesłajda, wałęsając się po halach. Koło roku 1850. spotkali się z nimi w dolinie Koperszadów X. Józef Stolarczyk. proboszcz z Zakopanego, przewodnik Maciéj Roj i całe grono osób zdążające na Łomnicę. Zbójnicy ujrzawszy towarzystwo czmychnęli w las, chociaż nikt ich z podróżnych nie gonił.

Podobnego rodzaju złodziei bandę w ostatnich latach wytworzyła jedna rodzina z Zakopanego, Matejowie,

ojciec z siedmioma synami. Nocami czynili wyprawy na bogatych handlarzy, karczmarzy, zwłaszcza na Węgrzech. Raz miał ich góral z Zakopanego podpatrzéć, gdzie pieniądze chowali, i zabrać im je, co gdy zbójnicy wyśledzili, przyszli do sprawcy po odbiór pieniędzy, kiedy go w domu nie było. Zastali w izbie dziewczynę, którą, gdy jednego z usmolonych rabusiów poznała i po imieniu nazwała, zadusili, aby ich nie wydała. Zbrodnię tę popełniono w lecie roku 1866. Sprawa wyszła na wierzch, a sprawców jéj powięziono. Właśnie przewódzcę téj zgrai, Mateję, przed samém popełnieniem morderstwa powyższego miałem sposobność poznać w roku 1866, gdy jechał na jarmark do Nowego Targu. Piękny to i niezmiernie silnie zbudowany mężczyzna, włosy miał ciemne, postawę sympatyczną, rysy twarzy bardzo kształtne, jakby antykowe greckie, spojrzenie pewne, a ubrany był po góralsku w świątecznym stroju. Chata jego przy ujściu doliny Strążyskiéj stoi teraz pustką, bo jéj gospodarz zdaje się z więzienia już nie wyjdzie.

Życie pasterskie po górach usposabia do zbójectwa, zaprawiając młodzież do próżniactwa, a że opowiadania o zbójnikach podniecają młode umysły, czyniąc w ich oczach z prostych zbrodniarzy bohaterów, zatém jedynie silna władza bezpieczeństwa publicznego zdolna powstrzymywać lud od demoralizacji na téj drodze. Przecież przed dwoma laty dwu chłopaków, synów zamożnych gospodarzy z Kościelisk, Krzeptowski i Stopka, jego krewny, przybrawszy sobie jeszcze dwu towarzyszów, jednego z Olczy, a drugiego podobno z Jurgowa, niczém do tego niezmuszeni udali się na tak zwany u nich „zbój“ w upatrzone miejsce do Niedzicy nad Dunajcem dla zrabowania żyda karczmarza. Napadłszy na dom, zamknęli całą rodzinę do piwnicy, a sami wzięli się do roboty, lecz w czasie rabunku żyd córeczkę wysadził przez okno na pole, która pobiegła po pomoc. Nadbiegli ludzie z żandarmami i otoczyli karczmę. Wówczas rabusie wyskakiwali oknami, a Krzeptowski strzelił do żandarma. Ujść im się udało, ale i tak sprawców odkryto, związanych odstawiono do więzienia. Krzeptowski chociaż po nieudanéj wyprawie zbiegł do domu i schował się gdzieś na Orawie, i tam odszukany do kryminału się dostał w Lewoczy na Spiżu. W r. 1870 zapadł wyrok w téj sprawie, na mocy którego skazani zostali rabusie na kilkoletnie więzienie, a Krzeptowski na 12 lat za strzelenie do żandarma. Po wyroku przewieziono go do Munkaczowa na Węgrzech.

Dziś przy ogólnéj zmianie stosunków i w Zakopaném zbójnictwa czas minął, odkąd bywam w Tatrach nie słyszałem, aby gościom się co złego stało, lecz jak mówi przysłowie: „strzeżonego Pan Bóg strzeże“ dla zapobieżenia przypadkowi w czasie pory letniéj, gdy goście do Zakopanego przybywają, oprócz zwykłéj straży stałéj, wsiowéj, w nocy gazdowie dobrowolnie po dwóch pełnią na przemian służbę stróżów nocnych.

Od Zielonych Świątek do Matki Boskiéj Zielnéj tchną Tatry życiem. Natura jest w rozkwicie, a po halach ludno. Hale należą do rodzin góralskich z całego Podhala, rzadko bardzo do właściciela dóbr. Bywa, że do jednego pastwiska mają prawa gazdowie z różnych wsi; pochodzi to z żenienia się, gdy gazda za żoną w posagu odziedzicza przywiléj paszy na tém lub owém pastwisku. Takie jednak osady pasterskie po halach zwane bacówkami istnieją w zupełnéj od drugich niezależności; dla tego myli się p. Wincenty Pol w Obrazach z życia i natury, mówiąc, że hale w Tatrach wszystkie razem mają nad sobą zwierzchnika.

Baca na szałasie jest najwyższym zwierzchnikiem całéj osady pasterskiéj i wcale się innemi bacówkami nie zajmuje, rzadko ich nawet znajomość albo jakie stosunki łączą, bo hale po całém Podhalu mają rozrzuconych właścicieli. W dolinie n. p. Kościeliskiéj hala Pyszna należy do Klikuszowéj, wsi położonéj na stokach Beskidów, cztery mile od Tatr odległéj, a sąsiednia hala Smytnia w téj saméj dolinie należy do Miętostwa, wioski przed Czarnym Dunajcem; Zakopianie znów jako potomkowie rodziny Gąsieniców posiadają dla paszy dolinę Gąsienicową i t. d.

W górach właściwie wiosny nie ma, bo w maju gdy śniegi stopnieją, naraz robi się lato. Bydło na paszę w hale wypędzają koło Zielonych Świątek, odbywa się to z wielką uroczystością. Drożynami z całego Podhala ciągną jak karawaną w Tatry pasterze z owcami, krowami, końmi i wszelkim sprzętem, psy owcze białe z rasy Liptowskiéj pilnują, aby się owca z gromady nie wydzielała. Na rześkich konikach wierzchem jedzie starszyzna pasterska; co rok obieralny baca dobiéra sobie sam juhasów, t. j. pasterzy, których ma żywić przez lato i dać każdemu sér z jednego podoju wszystkich owiec na hali. Kierdele t. j. gromady liczą różną liczbę owiec, od kilkudziesięciu bywa ich do 600 sztuk na jednéj hali, roboty przy dojeniu dużo, a gazdowie właściciele owiec według umowy z bacą za czas paszy na hali dostają pewną liczbę funtów sera. Sér wyrabia sam baca i on odpowiada za całość powierzonego mu dobytku, juhasi zaś mają obowiązek paszenia owiec, dojenia i wszelkiéj posługi w szałasie. Gdy owca zaginie, baca i juhasi winni zwrócić właścicielowi wartość straty; jeżeli się gdzieś w turniach zabije, ale owcę znajdą, to skóra z wełną przypada właścicielowi, a mięso pasterzom. Zależy to jednak od dobréj woli lub umowy górali, gdyż łakomy gazda i za mięso każe sobie zapłacić. Bal to i uczta w szałasie, gdy im się trafi mięso, które warzą w żętycy, ale się zdarza najczęściéj śmierdzące, bo nie zawsze się im uda zaraz odszukać zguby, to nie zniechęca jednak szałaśników do pożywania z radością i smakiem przypadkowego daru Bożego.

Bydło w górach, zdarza się, że ginie w czasie paszy. Owce, krowy, woły, konie zalazłszy gdzieś w miejsce, zkąd się wydobyć nie mogą, przy usiłowaniu wydostania się spadają w przepaść zdruzgotane na miazgę. Ze skał Kościelca ponad Czarnym Stawem Gąsienicowym dwa woły się raz stoczyły, z których na dole znaleziono bryłę mięsa pomięszanego z kamieniami. Po spędzeniu owiec na podój przed szałasy juhasi zawsze liczą ich ilość, aby wcześnie się zguby dopatrzéć i jeźli się da, odszukać. Bywa bowiem, że owca zabłąka się w przepaściste turnie i nie wié jak wrócić, to znów czasem skaleczy nogę, więc beczy wołając o pomoc, zkąd ją znosić trzeba.

Jak konie, woły, tak i barany pasają się samopas po górach zupełnie zostawione Boskiéj Opatrzności. Barany, żeby gdzie nie zaszły w inne strony, sprowadzają górale w takie miejsca, do których jedna ścieżka wiedzie, a tę zastawiwszy, w spokoju je zostawiają, czasem przeliczając dla kontroli. Zowie się to zastawianie baranów w górach „zacinaniem.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Skrzynka do listów.

PP. J... St... w Gnieźnie, — Łuk... w Mar..., — M... D.. W... w Tarnowicy: wysłaliśmy.

X... Pl... w K...: Urząd pocztowy w Osiecznie, w którym złożono przedpłatę, winien dostarczać wszystkich numerów Tyg. Wielkopolskiego. Pomimo tego przesyłaliśmy pod opaską wychodzące numera, — a to w celu, ażeby Pan żadnéj nie doznał zwłoki w odbieraniu naszego pisma, podczas gdy toczyć się będzie korespondencja z pocztą w Osiecznie. Posyłając Panu nadal Tygodnik pod opaską, nietylko że dostarczamy Mu bezpłatnie jednego egzemplarza, ale nadto wykładamy gotówką koszta przesyłki.

P. W... Pisz... w Bochnji: Jakkolwiek nie zobowiązani, zastosowaliśmy się do Jego życzenia.

P. Dr. K... w Wa...: Wysyłamy regularnie przeznaczony dla Niego egzemplarz Tygodnika, który jeżeli nie dochodzi rąk Jego, ginie na poczcie. — Czyby zapisków Jego, dotyczących się Tomicjanów, nie można zużytkować dla naszego pisma?

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.